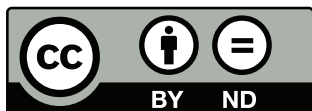


Wiesław Blicharski

Wspomnienia kazachstańskie



Ten utwór objęty jest licencją Creative Commons Uznanie autorstwa-Bez utworów zależnych 2.5 Polska. Aby zobaczyć kopię niniejszej licencji przejdź na stronę: <http://creativecommons.org/licenses/by-nd/2.5/pl/>.

Pewne prawa zastrzeżone na rzecz autora publikacji.

Opracowanie techniczne: eBooki.com.pl

Sybiracy.pl

2007-07-22

Nigdy nie nosiłem się z zamiarem pisania wspomnień w szczególności z okresu zsyłki. Ten czas starałem się wyrzucić z pamięci. Tak, w okresie młodości nie chciałem żadnych wspomnień. Chciałem zapomnieć te złe czasy. W dużym stopniu to się udało, głównie dzięki temu, że straciłem wszelki kontakt ze wszystkimi chłopakami z fermy. Wprawdzie przez pewien czas po powrocie byłem rozpoznawany jako „nietutejszy” z powodu akcentu i to nie lwowskiego, lecz wręcz rosyjskiego. Szybko jednak naprawiłem błędy wymowy i wpadłem w wir normalnego życia. Nie było czasu na rozdrapywanie ran, które powoli zabliźniały się. Chciałem się oddać rzeczywistości, tworzyć przyszłość. Taka postawa była zresztą aprobowana i akceptowana przez władze Polski, tej Polski, do której wróciliśmy. Nie było tam miejsca na rozpamiętywanie przeszłości, jaką zgotował nam Józef Stalin. Dopiero po wielu latach nadszedł czas, kiedy można było powiedzieć prawdę. Prawdę tę zaczęli opisywać ludzie, którzy jak ja zaznali cierpienie zsyłki i pracy katorżniczej. Ich wspomnienia rozbudziły po części moje. Będąc już na emeryturze dostałem do przeglądu różne notatki starszego brata mojego - Zbyszka, który zmarł w 1992 roku. Między dokumentami znalazłem karteluszki wyrwane z notesu, zapisane dziecięcym pismem jeszcze w Kazachstanie. Zawierają one lapidarne opisy, ślady naszego pobytu na zesłaniu. Pod ich wpływem w znacznym stopniu ożyły moje wspomnienia i stały się inicjacją decyzji, która nie była też pozbawiona wątpliwości. Czy potrafię wyrazić w tych wspomnieniach to, co jest najistotniejsze - ból i cierpienia ludzi wygnanych ze swoich gniazd, które dopiero co zdołali uwić w ciągu kilkunastu lat niepodległości, odczucia ludzi nawykłych do spokojnego, kulturalnego współistnienia, poddanych nagle traktowaniu nieludzkiemu, bez poszanowania godności ludzkiej? Chyba nie potrafię, ponieważ będąc jeszcze dzieckiem, nie rozumiałem podłości, jakich dopuszczali się NKW-dziści, nie rozumiałem nikczemności systemu stalinowskiego, który w końcowym efekcie zmierzał do wyeliminowania Narodu Polskiego. Po latach dopiero poznałem fakty, które pozwoliły mi to zrozumieć. Nieświadomość tych spraw w tamtym czasie spowodowała, że moje odczuwanie zachodzących zdarzeń było inne - dziecięce. Czy zdołałem wydobyć z pamięci te zdarzenia, które inaczej rozumiane, inaczej też były odbierane i zapamiętane? Czy odtworzę je tak, jak z dysku komputerowego, w którym pamięć została wymazana, skasowana, lecz jakiś ślad pozostał? Jak mocne były wówczas odczucia i jak silne muszą być bodźce teraz, aby po sześćdziesięciu pięciu latach z tych pozostałych śladów utworzyć w miarę wierny obraz tamtych zdarzeń?

Mimo wszystko spróbuję.

Rok 1939. W marcu skończyłem osiem lat, brat Zbyszek w maju dziesięć, a mamusia w lutym trzydzieści pięć. Mieszkaliśmy w Snowiu k/Nieświeża na Białorusi. Ojciec był już wtedy chorąży i miał trzydzieści dziewięć lat. Służył w Korpusie Ochrony Pogranicza w batalionie „Snów” i był dowódcą plutonu ckm. W marcu batalion został wysłany na granicę południową w okolice Rabki, do Podwilka. Matka zajmowała się domem. Mieszkaliśmy w domku z ogródkiem przy ulicy Niświezkiej 22. Zbyt dobrze tego domku nie pamiętam, był na pewno parterowy. Za domkiem był ogródek. Rzadko w nim bywałem, raczej biegałem z chłopakami po łąkach na obrzeżach miasteczka. Na końcu ulicy Nieświezkiej był pałacyk, na terenie, którego stacjonował

batalion KOP-u. Od marca wojska w koszarach praktycznie nie było. Nie mieszkaliśmy w Snowiu zbyt długo, dlatego pamięć o tym miasteczku nie jest pełna. Przeprowadziliśmy się do Snowia z Osowca na Białostoczczyźnie w roku 1937 jesienią i mieszkaliśmy tam dwa lata do wybuchu wojny. Do domku na Nieświezkiej przeprowadziliśmy się dopiero w drugim roku pobytu w Snowiu. Wcześniej mieszkaliśmy na obrzeżach miasteczka w chatynce z ruską *pieczką*, nad którą wisiał wielki okap. Pamiętam, że podczas ustawiania garnków na płycie tej *pieczki*, mamusia często uderzała się w głowę o nisko zabudowany okap. Często też przy tym płakała czy to z bólu, czy ze złości z powodu nagłej zmiany warunków mieszkaniowych na gorsze. W Osowcu bowiem w ostatnim okresie pobytu mieszkaliśmy w nowoczesnym - jak na owe czasy - mieszkaniu z wodą, kanalizacją, centralnym ogrzewaniem i łazienką z ciepłą wodą. Tutaj nic z tych rzeczy. Przyzwyczajaliśmy się do prymitywu, ale nie na długo gdyż na Nieświezkiej warunki znacznie się poprawiły.

17 września nad ranem. Mamusia obudziła nas i wyciągnęła z łóżek. Słychać było z dala kano-nadę. Wyszliśmy wszyscy do ogródka, tam przygotowany był głęboki rów (okop). Zmarznięci, wystraszeni przesiedzieliśmy tam do rana. Kiedy się już rozwidniało, usłyszeliśmy warkot motorów i łoskot jadących czołgów. Nikt nas w tym okopie nie niepokoił, wyszliśmy więc z niego. Ulicą maszerowali żołnierze w spiczastych czapkach z czerwonymi gwiazdami, a u wielu z nich zamiast pasów przy karabinach były sznurki. Zostaliśmy „oswobodzeni” przez krasną armię.

Od ojca żadnych wiadomości nie mieliśmy. Matka zbierała o nim informacje przekazywane przez żołnierzy, którym udało się wrócić do domu. Wiedzieliśmy, że nasze wojska na południowej granicy zostały praktycznie rozbite przez Niemców i rozproszone. Słyszeliśmy przekazy, że grupy żołnierzy z oddziałów walczących pod Jabłonką i w okolicach Rabki przedzierały się do Rumunii. O ojcu nadal nie było żadnych wieści.

Matka skontaktowała się ze swoim bratem - wujkiem Frankiem, który mieszkał w „wyzwo-lonej” już przez Rosjan Skale n/Zbruczem k/Tarnopola. Wujek przyjechał w październiku lub w listopadzie. Cały nasz dobytek został spakowany do wagonu bagażowego. Rzeczy pierwszej potrzeby do walizek i wyjechaliśmy do Skąły. Zamieszkaliśmy u wujostwa w ciasnym mieszkaniu. Jedliśmy razem z nimi mamałygę z kwaśnym *mlikiem* i razowy *chlib* jak mawiał wujek Franek. Wujostwo zatroszczyli się o nas żeby nie żyło się nam gorzej niż im.

Brat dał na pewno jakieś oparcie mamusi, która nie odczuwała tak bardzo boleśnie nagłej utraty męża. Zadbali też o to, abyśmy zaczęli chodzić do szkoły - do pierwszej klasy chodziłem już w Snowiu. W Skale była to szkoła z językiem ukraińskim, ale nie zdążyłem nauczyć się mówić po ukraińsku, bo znaleźli nas i tutaj.

W nocy 13 kwietnia 1940 roku przyszli po nas. Pamiętam, bo obudził mnie straszny łomot, walenie do drzwi i płacz mamusi oraz krzyki... „*otkrywaj, otkrywaj*”! NKW-dziści, którzy wtargnęli do mieszkania krzyczeli:

- „*Odjewajties’ i wychaditie*”, macie pół godziny na spakowanie, możecie zabrać 100 kilogramów rzeczy (a może tylko 50, już nie pamiętam).

- Dlaczego? Dokąd nas zabieracie? Pytała płacząc mamusia.

- „*Pojedietie k' mužu*” odparł NKW-dzista.

O osadzeniu dużej ilości żołnierzy polskich w obozach katyńskich już słyszeliśmy, w swojej naiwności sądziliśmy więc, że może nas rzeczywiście połączyć.

W tym czasie wagon bagażowy z naszym dobytkiem jeszcze gdzieś krążył, nie mogliśmy więc spakować nawet tyle bagażu na ile była zgoda. Przerażeni, w pośpiechu ubraliśmy się. To co było pod ręką spakowaliśmy do walizek. Mamusia dzięki swojej przezorności zabrała pościel, trochę grubszej odzieży w tobolek i wyszliśmy nie wiedząc dokąd. Zabrali tylko mamusię, Zbyszka i mnie. Wujka i jego rodzinę zostawili w spokoju. Mieli przygotowane dokładne spisy kogo brać. Plan deportacji jaki stworzony był wcześniej przez NKWD przewidywał, że do wywózki w tym terminie przewidziani byli między innymi wojskowi, policjanci, służba graniczna, służba więzienna i ich rodziny. Ze szczególną „troskliwością” tropieni byli oficerowie i podoficerowie Korpusu Ochrony Pogranicza z rodzinami oraz żołnierze, którzy brali udział w wojnie bolszewickiej 1920-go roku. Zawieźli nas furmanką na stację kolejową. Tam kazali się pakować do bydlęcego wagonu z zainstalowanymi pryczami tak, aby zmieściło się jak najwięcej ludzi (około 70 osób). Kiedy wagon się już wypełnił ludźmi, drzwi zostały zamknięte i zaryglowane z zewnątrz. Przy drzwiach stał *bajec* z bagnetem na karabinie. W środku wagonu w podłodze wycięty był otwór, który służył za ubikację. Chyba dzień i noc przesiedzieliśmy w tym wagonie zanim doczepili lokomotywę i pociąg ruszył. W tym czasie na „peron” przychodziły rodziny tych, którzy zamknięci byli w wagonach. Podawali nam przez zakratowane okienka głównie żywność: gorące posiłki, mleko, jajka czy inny prowiant na drogę. Jakoś musieli to „załatwiać” z krasnoarmiejcami pilnującymi nas. Przyszedł też wujek Franek i przyniósł nam gorący rosół, gotowaną kurę i inne produkty żywnościowe. Po sformowaniu składu, ruszyliśmy na wschód.

Tu odwołam się już do zapisków Zbyszka. Po przyjeździe na miejsce zesłania robił skąpe zapisy wydarzeń. Reprodukuję tych zapisków włączam do moich wspomnień.

Są to notki robione na gorąco przez niespełna 11-to letniego chłopca:

„...17.09.1939 roku wkroczyli do Polski z zachodu Niemcy, a ze wschodu Rosja, podzielili między sobą nasz Kraj ci grabiciele na dwie części ... W lutym 1940 r. zabrali kolonistów¹ i wywieźli w głąb Rosji i tak wywozili Polaków partia za partią... 13.04.1940 r. wywieźli cały transport niewinnych kobiet i dzieci, w którym i nas wywieźli. Tak zaczęła się nasza tułaczka po ziemi...”

Rozpoczęła się czterotygodniowa podróż w zamkniętych wagonach pod eskortą uzbrojonych krasnoarmiejców. Widziałem takiego w akcji, gdy podczas przesiadki do wagonów szerotorowych na dawnej granicy polsko-sowieckiej Zbyszek chciał trochę rozruszać nogi i puścił się biegiem wzdłuż peronu. Wartownik - *bajec* - stanął naprzeciw biegącego Zbyszka i przyjął postawę walki na bagnety, jakby chciał go na ten bagnet nadziać.

¹ *Koloniści* - osoby, które przybyły z zachodu Polski na tereny wschodnie, tam kupiły lub dostały ziemię głównie z parcelacji większych majątków. Ci, którzy otrzymali tu ziemię to osadnicy wojskowi-przeważnie piłsudczycy-osiedleni na ziemiach wschodnich po wojnie bolszewickiej 1920-go roku. Deportowani oni byli w lutym 1940 roku.

Warunki „podróży” były koszmarnie. Już po kilku dniach jazdy harmonia współzycia tak wielkiej grupy ludzi zamkniętych w klatce została zachwiana.

Przeszkadzało wszystkim wszystko; i woniejące niemyte stopy, i brudna cuchnąca bielizna, i zajmowanie przez innych lepszego miejsca w wagonie itd., itd... . Po dalszych kilku, a może kilkunastu dniach pojawiły się wszy i inne insekty. Ludzie już prawie zubożeli na brud i inne niedogodności. Najgorszym wrogiem stawał się głód. Zapasy zabrane z domu kończyły się. „Podróż” stawała się z dnia na dzień bardziej uciążliwa. Jedzenie stanowiło wiadro zupy z jagłami² lub kaszą jęczmienną, wiadro brunatnego *kipiatku*³ i chleb razowy - podzielony na 70 osób. Wydawane to było co drugi lub trzeci dzień. Jedzenie pobierali na wyznaczonych stacjach dyżurni *nosilszcziki* eskortowani przez wartowników. Przemieszczaliśmy w ten sposób niezmierzone przestrzenie jakże niegościnyj ziemi, a nikt z nas nie wiedział gdzie jest kres „podróży” i jak długo będziemy jechać. Ale ta niewiedza w porównaniu z warunkami jazdy była jakby nieistotna. Bardziej koncentrowaliśmy się na tym, aby przetrwać. A nie wszystkim się to udało. Pamiętam, jak pociąg zatrzymywał się wiele razy w szczerym polu. Przyczyny tych postojów nie znaliśmy, ale kiedy *nosilszcziki* spotykali się przy poborze *kipiatku* przekazywali sobie informacje, które roznosiły się do wszystkich wagonów, a dotyczyły właśnie zgonu i pochówku przy torach tego lub owego. Byli to zwykle ludzie starsi lub ci, co usiłowali zbiec z transportu. Taki przypadek też sobie przypominam.

1-go maja byliśmy chyba w Czelabińsku, pamiętam bowiem potężne dekoracje umieszczone na ścianie masywu górskiego Ural. Dostaliśmy wtedy *prazniczne*⁴ jedzenie: jakaś gęsta kasza, lekko okraszona, a może to były kluski, poza tym na deser *prianiki*- twarde jak nieszczęście ciasteczka podobne do naszych pierniczków.

W ten sposób obchodziliśmy święto klasy robotniczej i jednocześnie przekroczyliśmy granicę Europa-Azja. Znaleźliśmy się w innej części świata. Odległości między stacyjkami były coraz większe, teren coraz rzadziej zasiedlony. Ludzie, których czasem widzieliśmy, byli biedni i wygłodzeni jak my. Mówili nam: *nie bojties', tam kuda jedietie tolko diesiat' miesiacow zimy, a tak wsio lieto, lieto i lieto*. Coraz rzadziej pociąg zatrzymywał się na stacyjkach. Coraz rzadziej też dostawaliśmy jedzenie i *kipiatok*. Najwidoczniej cel „podróży” zbliżał się. Chcieliśmy już jak najszybciej opuścić te klatki, cokolwiek by się ukazało u celu. Krajobraz stawał się coraz bardziej stepowy, ponury. Znikły lasy i góry. Pojawiła się równina porośła krzewami i trawą stepową. Wreszcie pociąg zatrzymał się w Semipałatyńsku. Tam część wagonów odczepili. My zostaliśmy

² *Jagła, pszono* - kasza jaglana, obłuskane i otluczone ziarna prosa. Proso jest zbożem dość powszechnie uprawianym, szczególnie w rejonach azjatyckich byłego Związku Radzieckiego. Będąc na zesłaniu, te bezwartościowe łuski otrzymywane w procesie obróbki ziarna prosa, stosowaliśmy jako dodatek do mąki przy pieczeniu *lepioszek*.

³ *Kipiatok* - wrzątek. Podczas przejazdu na zesłanie, wydzielany był w postaci ciepłej, zabarwionej nie wiadomo czym, cuchnącej cieczy.

⁴ *Praznik* - święto. Owcześnie w ZSRR świętowane były bodaj tylko dwa dni w roku: 1 maja i rocznica rewolucji październikowej (7-go listopada). Jeden z tych dni trafił na czas naszego przejazdu, stąd świąteczny poczęstunek.

z lokomotywą i pojechaliśmy dalej. Niedługo jechaliśmy, chyba dwa, trzy dni i zatrzymali nas na stacyjce o dziwnie brzmiącej nazwie Żangez-Tobe.

Stacyjka to zbyt dużo powiedziane w odniesieniu do przystanku kolejowego gdzie znajdował się jeden mały budynek z kasą biletową i mieszkaniem dla naczelnika. Ale w świadomości każdego tubylcy - i naszej zresztą też - istniała taka stacja kolejowa. Zbyszek w swoich notatkach podaje również nazwę Szandibułak, która moim zdaniem dotyczyć może osady znajdującej się w pobliżu tej stacji.

Tak więc po czterech tygodniach dotarliśmy do kresu „podróży” koleją. W Szandibułak eskorta wojskowa przekazała nas miejscowej milicji. Cały ten ceremoniał trochę trwał, gdyż miejscowi musieli przygotować odpowiednią ilość *awtomaszin*, żeby nas przewieźć przez góry. Byliśmy na Pogórzu Kazaskim.

Po dwudniowym odpoczynku na wolnym powietrzu załadowali nas na ciężarówki i w ciągu jednego dnia przewieźli do miasteczka powiatowego Kokpekty.

„...Potem jechaliśmy autem cały dzień do miasteczka rejonowego Kokpekty. Stamtąd jechaliśmy od wieczora do północy (furmankami zaprzężonymi w byki - przyp. autora). Jak przyjechaliśmy na miejsce to wrzucili nas do bazy gdzie stało bydło...”

Ciężarówki podjechały pod budynek jako żywo przypominający budowlę sakralną. Kazali się nam *wygrużać* i zajmować miejsce w domu kultury, który został urządzony w cerkwi. Zajęliśmy miejsce na posadzce i czekaliśmy co będzie dalej. Nic nie było - nasi „opiekunowie” opuścili nas i nikt nas nie pilnował. Tylko od czasu do czasu przychodzili jacyś miejscowi, kołchozowi notable, wybrali kilka osób jak na targu niewolnikami i odjechali z nimi. Po kilku dniach i na nas nadeszła kolej. Przyszły byki z podwodami⁵, kazano nam na te podwozy się ładować. Powiedziało nam, że zawiozą nas za *rieczku*. *Rieczka* to krótka rzeczka o nazwie Kokpektynka. Źródła tej rzeczki są gdzieś w górach Pogórza Kazaskiego, a ujście w jeziorze Zajsan znajdującym się niemal u podnóża Altaju. Był to okres wiosenny - druga połowa maja - i rzeczka ta była dość zasobna w wodę, a mostu nie było. Przeprawa przez nią była możliwa tylko podwodami zaprzężonymi w byki, niemalże w pław. Za rzeczką znajdowała się ferma numer cztery sowchozu Czigilek. Tam właśnie w „bazie” opuszczonej przez bydło wygnane na letnie pastwiska w góry, zamieszkaliśmy. Po ulokowaniu nas w bazie mówili nam miejscowi: *stroit'sia nužno, tak zdies' nie prożiwotie* - budować się trzeba, tak nie przeżyjecie. Wszyscy jednak mieliśmy nadzieję, że nie będziemy nawet tu zimować, nie mówiąc o tym, że strasznym i nierealnym nam się wydawało, aby kobiety z dziećmi brały się za budowanie lepianek, o czym nikt pojęcia nie miał. Nikt więc za żadną *strojkę* się nie brał w przekonaniu, że przed nadejściem zimy pojedziemy do swoich domów.

Przekonanie takie nie miało oczywiście żadnych podstaw realnych i było wręcz szkodliwe, bo hamowało przystosowanie się do ciężkich warunków życia, zwłaszcza podczas bardzo surowej, nieznanej nam zimy. Baza to długi na ok. 100 m barak zbudowany z wikliny, oblepiony gliną, z płaskim dachem o tej samej konstrukcji.

⁵ Podwoda, *tielega*, *tarantas* – furmanka.

Deszcze padają tam niezwykle rzadko i są to gwałtowne ulewy, po czym znów wychodzi piekące słońce. Rozmoczenie więc takiej „budowli” jest mało prawdopodobne. Na klepisku bazy po obu stronach wyłożona była świeża ściółka z siana, którą każda rodzina potrzebną szerokość w jakiś tam sposób oddzieliła tworząc własny, rodzinny boks.

Również każda rodzina budowała sobie własną kuchnię to znaczy dwa lub więcej kamieni ułożone obok siebie tak, aby można było na nich postawić garnek, a pod garnkiem zapalić chrust, suche żdźbła *karaganu*⁶ lub *kiziak*. Kuchnie te ustawiane były na placu przed wejściem do bazy, aby nie trzeba było zbyt daleko garnka nosić.

Kiziak - warto o nim kilka słów napisać - jest to bowiem niezwykle w cywilizowanym świecie a najważniejszy i właściwie jedyny opał w Kazachstanie. Jest podstawowym opałem zimą, a i latem często stosowany jest łącznie z chrustem.

Kiziak to odchody zwierzęce - krowie, baranie, lub wielbłądzie - zmieszane z wodą i słomą. Mieszanie taką deptało się w dole przy użyciu byków lub własnymi nogami. Po uzyskaniu w miarę jednolitej masy nakładało się ją do specjalnych płaskich forem bez dna zbitych z desek, zwanych *stankami*, które odciągało się w najbardziej nasłonecznione miejsce. Po dokładnym wyschnięciu powstawały brunatne cegły nadające się do palenia. Nikt nie mierzył kaloryczności tego opału, ale było to prawdopodobnie lepsze od torfu.

W pierwszym roku pobytu nie wiedzieliśmy o konieczności przygotowania tego opału na zimę, bagatelizując wskazówki miejscowych Kazachów i Rosjan. Latem do gotowania na cegielkach zbieraliśmy na stepie wysuszone odchody krowie - *lepioszki*. Te *lepioszki* zbieraliśmy również na zimę do palenia w *pieczce* dla ogrzania pomieszczenia, bowiem *kiziak* robiony w ceglach był towarem deficytowym. Ale to dopiero w kolejnych latach pobytu, pierwsza zima była bardzo ciężka. Tak zaczęło się nasze życie w Kazachstanie na fermie numer 4 sowchozu Czigilek.

Ferma numer 4 była gospodarstwem hodowlanym bydła rogatego między innymi krów, ale nie mlecznych. Mleka prawie nie było, te niewielkie ilości, jakie uzyskano z byle jakiego udoju, przepuszczano przez centryfugi - wirówki. Odchudzone mleko oddawano dla cieląt trzymanyh w oddzielnych *tielatnikach*, a śmietanę odwożono do innej fermy gdzie przerabiana była na masło. Część mleka przekazywana była w *jas'li* - do żłobka. Przypominam sobie, że mamusia czas jakiś pracowała w tym żłobku, wówczas od czasu do czasu zjadło się z maluchami jakąś dobrą kaszkę z mlekiem. Latem na wypasach bydło doglądali wyłącznie miejscowi Kazachowie. Całymi rodzinami wyjeżdżali z bydlęm w góry. Tam krowy były dojrzałe tylko tyle ile potrzebowały kazaszki. Produkowały z tego mleka znakomity serek - słodki *remczyk*. Serek ten robiły wyłącznie na własny użytek z nikim się nie dzieląc. Wyrabiany on był w bardzo prosty sposób: pełny *kazan* - kocioł - mleka stawiali najpierw na słońcu, osikowe mleko zaczynali lekko podgrzewać, aż cała woda wyparowała a na dnie pozostała żółta warstwa. Wymieszany i wysuszony na słońcu osad stanowił pyszne i pożywne jadlo, niestety dla nas niedostępne. Jak już wspomniałem, kiedy nas

⁶ *Karagan* - roślina stepowa, krzaczasta, kłująca. Wiosną dawała śliczne rude kwiaty, a latem i jesienią, kiedy kwiaty wyschły i opadły, suche badyle na opał.

tam przywieźli, bydło było już wygnane w góry. Ale trzeba było przygotować dla tych krów paszę na zimę. I to było, jak się później okazało, nasze zadanie, nie jedyne oczywiście. Zanim rozpoczęły się sianokosy wygonili nas w pole do pielienia łąnów zbóż. Wygonili dosłownie. O wschodzie słońca wtargnął do bazy *paliwod* - nadzorca polowy - z krzykiem: *wstawaj, padnimajsia na rabotu, na rabotu!* Zerwał z posłania każdego, kto mógł stać na nogach. Dzieci, takie jak ja i Zbyszek również chodziły do plewienia.

Kto chodził do roboty dostawał pięćset gramów chleba. Kto nie chodził, jako *izżywieniec* dostawał tylko dwieście gramów. Chleb był pyszny, pieczony z razowej mąki pszennej, w wysokich okrągłych formach, smakował jak tort, ale było go zawsze za mało. Długo na to plewienie nie chodziłem (przymus wobec dzieci nie był rygorystyczny). *Paliwod* wyznaczył mi dwa rzędkie długie na cały zagon, ale jak stałem na początku zagonu to końca nie było widać. Nie potrafiłem wyrwać tych chwastów piołunowych równie szybko jak pozostali, wszyscy byli już daleko z przodu. Nie miałem szansy dojść do końca zagonu. Cały czas schylony pod prażącym słońcem odnosiłem wrażenie, że mi się mózg wypala. Płakałem, że mnie boli głowa i nie mogę plewić.

Mamusia prosiła żebym jeszcze trochę wytrzymał, bo nie dostanę *pajka*. Nie wiem, czy się postarałem, do zachodu słońca normy nie wyrobiłem, do końca zagonu nie doszedłem. Na drugi dzień do plewienia nie poszedłem, zostałem w bazie. Wolałem *izżywien'ską* porcję chleba w bazie od takiej roboty. Jeszcze nie skończyło się plewienie, już zaczęły się sianokosy. Większość dorosłych zabrali do roboty przy sianokosach. Do sianokosów wyjeżdżało się daleko w step. Tam budowano obóz: *bałagany* do spania, kuchnia polowa - nie na kołach, kotły wkopane w ziemię, odpowiednio podparte. W ziemi wykonany był komin, aby w razie deszczu nie zalało paleniska. *Bałagan* to szałas wykonany z łoziny i gałęzi wierzbowych przykryty sianem. Kto nie potrafił lub nie chciał budować *bałaganu*, spał pod gołym niebem na sianie. Przy sianokosach pracowałem jako *pagońszczyk*, czyli poganiacz byków. Polegało to na tym, że siedziałem na jednym z pary zaprzężonych byków i poganiałem go nogami a drugiego biczem. Bicie robiliśmy sobie sami i to była sztuka sama w sobie. Plotło się taki bicz z czterech rzemyków tak ukształtowanych, aby u nasady bicz był gruby i sztywny, a ku końcowi bardziej cienki i wiotki. Najczęściej pracowałem przy *wołokowaniu*. Co to jest *wołokowanie*? To może po kolei: otóż prace przy sianokosach podzielone były na kilka etapów. Pierwszy to oczywiście koszenie trawy, które odbywało się przy użyciu dużych wielokosowych kosiarek - *szyrokozachwatek*, ciągnionych przez traktory, które obsługiwali miejscowi traktorzyści. Za kosiarkami szły grabie zazwyczaj konne, ale zaprzężone w byka gdyż konie rzadko były używane do prac polowych. Na grabiach jeździł również Zbyszek, czasami i ja. Po przeschnięciu zgrabionej trawy, a następowało to błyskawicznie pod palącym słońcem stepowym, pokosy siana utworzone przez grabie były zbierane w kopki. Było to tak zwane *kopnienie*. Widły robiliśmy z odpowiednich gałęzi wierzbowych przycinając je tak, aby powstał rozwidlony koniec. Po zdarcie kory i łyka oraz zaostrzeniu końców, widły były gotowe. Pojedyncze egzemplarze wideł metalowych robione były w kuźni i przeznaczone wyłącznie dla *skirdowszczyków* i do robót w bazie. Do *kopnienia* używaliśmy wideł drewnianych, a miały one tę

zaletę, że były lekkie. Ostatnim etapem było tak zwane *skirdowanie* czyli układanie siana w potężne *skirdy* - sterty. Kopki siana były rozrzucone po stepie i trzeba było je jakoś do tej sterty dostarczyć. To jest właśnie *wołokowanie*, a służyły do tego *wołokusze*. Były to zmyślne urządzenia podobne do noszy indiańskich - spore gałęzie wierzbowe umocowane ciasno jedna przy drugiej do belki.

Tak powstała potężna „miotła” z przodu miała dyszel, który zaczepiało się do jarzma pary byków. Na gałęziach układane było siano kopka za kopką i kiedy już uzbierała się duża kopa na *wołokuszy*, przeciągałem ją, czyli włóczyłem, stąd *wołokusza*, do miejsca *skirdowania*. Sterty układane były bardzo wysoko ze względu na śnieżne zimy, aby śnieg nie zasypał siana, które nie byłoby wówczas do odzyskania. A do baz siano było przywożone zimą, ponieważ nie było miejsca na jego składowanie. Tak w ogólnych zarysach, bez ubarwień, wyglądała praca przy sianokosach, które trwały do czasu, kiedy dojrzało zboże. Wtedy zaczynała się *chleboborka*. Do żniw zabierano traktory, a jeżeli trzeba było jeszcze kosić trawę, to pozostawały tylko kosiarki konne ciągnięte przez byki. Sianokosy przebiegały wtedy wolniej, bo i ludzi było mniej.

Koszenie zboża, głównie pszenicy, (jęczmienia i prosa było niewiele, a żyta wcale) odbywało się kombajnami. Słomy się prawie nie zbierało, była ona rozrzucana po polu. Dlatego do żniw zatrudnionych było niewielu ludzi. Głównie traktorzyści, kombajniści oraz *wozilszcziki* przy odwożeniu już omlóconego zboża. Odwoziło się je furmankami ze skrzynią do magazynu zbożowego na fermie. W magazynie zatrudniali kilka brygad kobiecych, które oczyszczały przywiezione zboże na *wiejalkach* - wialniach.

Skończyły się sianokosy, skończyły się żniwa, zbliżała się jesień. Nadchodził czas powrotu bydła z letnich pastwisk na zimowe leże, a my wciąż zajmowaliśmy miejsce krowom. Chyba dlatego kierownictwo fermy pomyślało o rozlokowaniu nas, mieszkańców bazy, do kwater. Miejscowi Kazachowie i Rosjanie zapewne nie chcieli brać sobie na głowę *poliaczków*, jakoś nas jednak w istniejących pomieszczeniach rozlokowali (bo nie mogli zostawić bydła pod gołym niebem).

Jak wyglądała zabudowa fermy opisał skrótowo Zbyszek niedługo po przyjeździe.

„...Opis naszej fermy. Nasza ferma wszystkiego składa się z kilkadziesiąt chatek. Pośrodku jest wielki plac z bramą, która nazywa się *lieninskiej warata*. Cała brama jest ozdobiona w gwiazdy z zardzewiałej blachy. Na wschód od placu są trzy bazy, jedna dla świń dwie dla bydła. Na północ jest duży magazyn i dwa domki. Na zachód jest rząd domków, w których można zauważyć, że drzwi wszystkich są skierowane na wschód, okna na zachód. Za domkami jest „łazienka bez komina”. W niej jak mają się kąpać to palą i nagrzewają wodę, a dym wszystek idzie drzwiami. Potem przychodzą kąpać się. Muszą przynieść swoje miednice, a jak się wymyją to wodę wlewają z powrotem do kotła i drudzy się myją tą wodą. Dalej za łazienką widać rzeczkę, która nazywa się Czigilek. Rzeczka ta na wiosnę jest wielka i szeroko wylewa a latem wysycha aż do dna. Tylko w niektórych miejscach gdzie są jamy zostaje kałuża, po pas wody, w której kąpią się. Zaraz za rzeczka jest mały las nie bardzo szeroki, ale za to długi na parę kilometrów. Na południe widać goły step, który okrąża całą fermę. Nasza ferma jest rozpołożona jakby na pagórku. Od

północnej strony osiem kilometrów jest bardzo wielka góra ... I nazywają ją różnie i Tałagoj i Bułka. Od tej góry wieje bardzo silny wiatr a szczególnie zimą. Klimat jest tu ostry a pogoda zmienna. Od wschodu do północno-zachodu ciągnie się łańcuch wysokich gór. Deszcze padają bardzo rzadko za to zimą śniegów bardzo dużo. Na domach dachy są równe i przysypane ziemią...”

Tak widział fermę Zbyszek mając niewiele ponad 11 lat. A tak wyrywkowo opisuje ten rejon ksiądz Tadeusz Fedorowicz, który jako kapelan wojskowy zajmował się sprawami duchowymi zesłańców. Przebywał też w naszym rejonie jakiś czas, a do jego wspomnień jeszcze będę wracał.

...wreszcie dojechaliśmy do Kokpektów dużej wsi, stolicy rejonu, położonej na wysokim stepie nad rzeką Kokpektynką. Jakies kilkadziesiąt kilometrów na północ było widać wysoką górę w kształcie stożka - Tała Goj. Był to wystygły wulkan stojący samotnie nad szerokim stepem. Za nim w jedną i w drugą stronę ciągnęły się pasma gór Altajskich. ... Powietrze było bardzo suche, nie było mgły stąd były bardzo dalekie i piękne widoki ... widać było ku północnemu wschodowi pasmo gór zasłaniające góry Altajskie. Te góry w coraz to różnych porach dnia i roku zmieniały barwy liliowe, różowe prawie purpurowe, chwilami były prześliczne. Zachodzące słońce tak je ślicznie zdobiło. Wschody słońca na białym śniegu na bezkresnym, bielutkim śniegu. Zaczynało się to od wielkiej różowości na wschodzie, a potem na horyzoncie na śniegu wysuwał się najpierw mały złoty rąbek, potem ten rąbek rósł i miało się wrażenie, że na horyzoncie rozlewa się złoto na białym śniegu. To złoto zaczynało się robić wypukłe, kuliste i wychodziło złote słońce...”

Nie da się tych dwóch opisów porównać ze względu na wiek autorów tych tekstów, jednak widać w nich dużą zbieżność pola widzenia. I ja tę naszą fermę i okolice podobnie widziałem i zapamiętałem. Muszę jednak nieco uzupełnić opis Zbyszka. Zacznę od łaźni, była to tak zwana *bania*, czyli fińska łaźnia albo sauna w bardzo prymitywnym wykonaniu. W części kąpielowej znajdował się piec - palenisko przykryte kamieniami oraz schodkowy podest z desek. Do pieca paliwo wkładało się w przedsionku, dym i płomień przechodził przez kamienie, które nagrzewając się gromadziły ciepło. W palenisku zabudowany był kocioł do podgrzewania wody. Po nagrzanu wody i rozgrzaniu kamieni pomieszczenie kąpielowe było przewietrzane. W piecu przestawiano się palić, a pozostały żar podtrzymywał jakiś czas temperaturę kamieni. Po wejściu do łaźni gorące kamienie polewano się wodą, wytwarzając parę, która jeszcze bardziej nagrzewała pomieszczenie. Miejscowi Kazachowie i Rosjanie przynosili ze sobą pęki łoziny i tymi gałązkami bili rozgrzane ciało. Gdyby nie ta bania to prawdopodobnie wszy by nas tam zjadły.

Wracając do opisu Zbyszka: również od północy na wprost rzeczonych *lenińskich warot*, mniej więcej w połowie drogi do magazynu zbożowego znajdował się charakterystyczny niepodobny do innych lepianek, domek o podstawie kwadratowej. W domku była między innymi *ławoczka* - sklepik. Nie pamiętam abyśmy tam cokolwiek kupowali, ale *ławoczka* i tak odgrywała bardzo ważną rolę, ponieważ wydawali tam *pajok*. Na południowy zachód od tego ważnego domku znajdował się równie ważny dom, ale pod innym względem. Było tam biuro *priedsiedatiela* - przewodniczącego (nie wiem komu przewodniczył ale była to najważniejsza osoba na fermie). Dom ten był znacznie większy od pozostałych. Był zbudowany z nie- wypalonych cegieł - *sama-*

nów. Mieściła się tam również szkoła, którą prowadził jeden nauczyciel, a nauka odbywała się w zakresie klasy pierwszej, drugiej, trzeciej. Szkoła z większą ilością klas była w kołchozie Czigilek odległym od naszej fermi o około 4 kilometry.

Na północ i południe od domu *priedsiedatiela* wzdłuż rzeczki rozmieszczone były ziemianki zamieszkałe przez tutejszych Kazachów i Rosjan.

Podczas rozdzielania *żytieliej* - mieszkańców bazy na kwatery, naszej rodzinie wspólnie z czterema czy pięcioma innymi przypadła izba w domu *priedsiedatiela*. Izba była na tyle duża, że zmieściło się pięć czy sześć prycz rodzinnych z pozostawieniem miejsca na dojście do każdej z nich. Rzeczy, jakie kto miał musiały zmieścić się na pryczy. Prycze robiliśmy z gałęzi wierzbowych jakoś powiązanych, następnie przykrywaliśmy to sianem. W izbie tej zamieszkali:

Pani Głuszyńska z synem starszym od nas. Na imię miał Bronisław, albo był powołany, albo poszedł na ochotnika do wojska polskiego. Cóрка Kama, chyba młodsza nawet ode mnie. Rodzina policyjna.

Pan Dobrucki z synem Edkiem mniej więcej w moim wieku.

Pani Jakubow, Jakubiec (?) z córką starszą, około 18 lat i synem Szczepanem w moim wieku.

Pani Szklarska z dwoma synami starszym Tadeuszem i młodszym Bolesławem. Rodzina wojskowa.

Nasza rodzina Aleksandra Blicharska z synami Zbigniewem i Wiesławem.

Wydaje mi się, że mieszkała również z nami Pani Kłymyszyn z dwoma córkami - imię jednej z nich Czesława.

Ponadto na fermie naszej, rozmieszczone w różnych kwaterach, przebywały następujące rodziny:

Państwo Wypiańscy - małżeństwo bezdzietne. On w 1942 roku poszedł do Armii Andersa, natomiast ona była mężem zaufania naszej czigileckiej grupy.

Pani Lang z córką Wandą około 18 lat i matką lub teściową, która zmarła na fermie w początkowym okresie pobytu. Po powrocie do kraju p. Wanda wyszła za mąż (Sosnowska) i wraz z matką zamieszkała w gospodarstwie rolnym w powiecie gryfickim - przez jakiś czas utrzymywaliśmy z nią kontakt.

Pani Woźniakowa z synem Longinem w moim wieku i młodszą córką. Rodzina wojskowa. Wraz z p. Woźniak została deportowana jej siostra p. Thilowa, która u niej czasowo przebywała.

Pani Cwojdińska z dwoma synami w wieku 7-9 lat. Rodzina wojskowa.

Pani Andrzejewska z malutką córeczką.

Pani Herman z synem Mieczysławem nieco starszym od Zbyszka. Rodzina wojskowa.

Pani Krawczyk - samotna prawdopodobnie wdowa po wojskowym. Zawarła związek małżeński z Rosjaninem, pozostała w Kazachstanie.

Państwo Oliwowie deportowani jak my ze Skały n/Zbruczem, z synem Alfredem powołanym do I Dywizji im. T. Kościuszki i córką Kazimierą w wieku Zbyszka.

Pani Łuszipińska z córką Lilianą. Rodzina wojskowa. Po powrocie zamieszkały w Głogówku.

Pani Domagała z córką Krystyną nieco młodszą ode mnie. Chyba w 1942 roku p. Domagała z Krzysią przeniosły się do kołchozu Czigilek. Pamiętam, że odwiedziłem je tam kilka razy. Po powrocie Krzysia wstąpiła do zakonu Sakramentek w Warszawie.

Panna Marysia Żytkiewicz znana tam jako Panna Marysia „wodowoz” oraz z układania i śpiewania piosenek.

Pani Sobotowa z synem Ryszardem i córką Danutą, oboje mniej więcej w naszym wieku. Rodzina wojskowa. Danusia zmarła w 1943 na fermie.

Państwo Czerdereccy z córkami Adelą i Janiną. Adela zmarła na fermie w roku 1942 mając około 17 lat. Janina była od niej młodsza.

Pani Pluta z dwoma synami Tadeuszem i Eugeniuszem. Rodzina policyjna. Tadeusz został powołany do wojska polskiego formowanego w ZSRR. Gienek bardzo aktywnie pracował przy bydle zimą i latem. Najlepiej nas wszystkich przystosował się do tamtejszych warunków, najlepiej znał język kazachski. Do kraju wrócili razem z nami w 1946 roku i osiedlili się w Stargardzie Szczecińskim.

Pani Kluzowa z synem. Rodzina wojskowa.

Nazwiska tych rodzin wygrzebaliśmy z pamięci po wielu latach razem ze Zbyszkim. Zbyszek spisał te nazwiska i opatrzył komentarzem. Chyba to nie są wszystkie rodziny, jakie osadzone zostały przez NKWD na fermie numer 4 sowchozu Czigilek, zapewne sporo ludzi opuściło fermę przesiadlając się gdzie indziej, w poszukiwaniu lepszych warunków bytowania.

Przezimowaliśmy na tej kwaterze chyba tylko jeden raz, ale zima ta bardzo się nam dała we znaki, bo przecież nie nawykliśmy do takiego ostrego klimatu. Udało nam się tę zimę 1941 roku przeżyć głównie dzięki temu, że mieliśmy jeszcze zabrane z domu rzeczy, które można było wymienić na żywność. Mamusia chodziła do odległych nawet *posiołków*, ponieważ miejscowi Kazachowie i Rosjanie nie mieli w nadmiarze żywności a tym, co mieli, nie chcieli się z nami dzielić. W odległości około 25 km. na północ od naszej fermy, czyli w górach, był *posiołek*, gdzie mieszkali głównie Rosjanie zatrudnieni w *rudnikach*⁷ złota. Wtedy jeszcze, to znaczy w pierwszym roku naszego zesłania, ludzie ci byli dosyć zasobni w porównaniu z kołchoźnikami. U nich łatwiej i korzystniej można było wymienić biżuterię i wyroby ze złota, czego mamusia zdołała trochę zabrać z Polski. Pamiętam, że miała dwie solidne obrączki ślubne, swoją i ojca. Opowiadała nam, że kiedy tatuś odjeżdżał po urlopie do Rabki (to było latem w 1939 roku) zostawił jej swoją obrączkę mówiąc, że to na ciężkie czasy. A czasy nadeszły tak ciężkie i pełne grozy, że takich obrączek trzeba by mieć kilkadziesiąt żeby odczuć ulgę. Inne wyroby biżuteryjne jak pierścionki, kolczyki, łańcuszki i zegarek wyczerpały się dość szybko i przyszła kolej na obrączki. Mamusia poszła do *rudnik* i wymieniła na żywność swoją, a obrączkę ojca na razie ocaliła. Za wszelką cenę tę pamiątkę po nim chciała zachować. Kilka razy w ciągu zimy mamusia tam chodziła, za każdym

⁷ *Rudniki* - na północ od naszej fermy, w odległości około 25-30 kilometrów rozpoczynało się pasmo górskie Tarbagataj. W górach tych występowało złoto wydobywane metodą górniczą. Miejsca wydobywania zwane były *rudnikami*. W pobliżu nich powstawały *posiołki* gdzie zamieszkiwali pracownicy.

razem zostawiając jakąś część biżuterii, w zamian przynosząc cenną żywność; ziemniaki, zboże, mąkę, czasem nawet masło i miód. *Posiołek* ten nazywał się Bałażalka.

Z nadejściem wiosny żyło się inaczej. Kiedy stopniał śnieg i obeschły pola, wychodziliśmy na zbieranie kłosów tam gdzie nie zostały one zebrane jesienią.

Zbieranie kłosków było dla nas ratunkiem, był to poważny zastrzyk pszenicy lub jęczmienia. Takie zebrane wiosną kłosy trzeba było jeszcze wysuszyć, gdyż często wybieraliśmy je z rozmo-
klej ziemi. Po wysuszeniu przecierało się je w rękach, tak żeby nie uronić ani jednego ziarenka. Kiedy wszystkie ziarna zostały wyłuskane i przewiane, były suszone i prażone na ogniu. Potem tłukło się te ziarna w *stupkach* (coś w rodzaju młóździerza) lub mełło się w żarnach. Tak spreparowane ziarna gotowało się w postaci kaszy lub z mąki piekło się *lepioszki*. Nawet, jeśli było nieco zbutwiałe, smakowało znakomicie.

Jeszcze przed całkowitym stopniem śniegu zaczynały się roboty polowe, co było równo-
znaczne z otrzymaniem *pajka*. Roboty te to *śniegozadierzanie*. Polegało to na tym, że znajdujący się na polu śnieg wycinało się łopatami i tworzyło coś w rodzaju wałów śnieżnych. Taki skupiony śnieg topił się wolniej a woda zdążyła wsiąknąć w glebę - nie spływała. Była to robota ciężka, a dla tych, co nie mieli odpowiedniego odzienia stwarzała niebezpieczeństwo odmrożenia. Ma-
musia zatrudniona przy *śniegozadierzaniu* odmroziła palce nóg i rąk.

Kiedy śnieg całkiem zszedł ze stepu i step się zazielenił, pojawiły się inne możliwości wy-
żywienia. Można było zbierać szczaw, dziką cebulę i czosnek, jakieś korzonki przypominające
rzodkiewkę, czyli „nowalijki”. Wszystko to jedliśmy bezpośrednio po zebraniu, a szczaw stano-
wił dodatkowo częsty składnik pożywienia gotowanego. Gotowany był na gęsto czasami z dodat-
kiem tłuczonych ziaren pszenicy. Jadło się to, żeby napęlić żołądek. Nie sposób pominąć w tym
miejscu moich odczuć dotyczących piękna przyrody, w jakiej mimo woli, a właściwie wbrew
woli, znaleźliśmy się. Niezależnie od tego jak nam tam było ciężko i źle, nie można było nie za-
uważać otaczającego nas piękna, które jednak często powodowało ból i smutek. Późną wiosną,
kiedy step pełen był barw i tętnił życiem owadów i zwierzątek stepowych, te odczucia zachwytu
i bólu i smutku mieszały się. Pamiętam jak chodziłem w step zbierać szczaw, kładłem się na tra-
wie, która już wówczas sięgała mi do pasa, patrzyłem w błękitne niebo bez jednej chmurki. Roz-
koszowałem się zapachem kwiatów stepowych i słuchałem muzyki stepowej w wykonaniu cykad
i wiatru. Były to chwile, kiedy zapominałem o głodzie. Chwile takie zdarzały się również, kiedy
spotykaliśmy się wieczorami słuchając opowieści o zesłańcach z sąsiednich *posiołków*, również
wierszy i piosenek napisanych na zesłaniu.

W *posiołku* Bolszaja Bukoń przebywała do roku 1943 p. Ludwika Kownacka - zesłanka,
zmarła w więzieniu w Swierdłowsku w 1944 roku, osadzona za odmowę przyjęcia obywatelstwa
rosyjskiego. Napisała wiele wierszy, które czytane były przez nas tam na zesłaniu. Między innymi
wiersz pod tytułem „Wiosna”, który jakże wiernie oddaje nastroje panujące wśród zesłańców,
nasze nadzieje, nasze złudzenia, ale i wiarę, że i dla nas będzie wiosna.

Wiosna

Gdy śniegi już tają, a wiatr stepem gna
Pieśń, co w sobie czary bliskiej wiosny ma,
Gdy słońce z uśmiechem przepędzi już mróz,
Gdy czujesz, że wiosna za plecami tuż
Coś w sercu mym zrywa się nagle radośnie,
To wiara, że zmianę przyniesie przedwiośnie.
Gdy słońce naprawdę przygrzeje już nas,
Gdy ze śniegu otrzęsły się krzewy i las,
Gdy rzeka z uciechy, że zmoęła już lód,
Z szaleństwem w świat pędzi do innych rzek, wód,
Mą duszę już radość tak mocno opęta,
Że wierzę w powrotu cud jakby zakłęta.
Lecz kiedy usłyszę żurawi pieśń, jęk
Gdy zerwę wzruszona pierwszych kwiatów pęk
I kiedy zobaczę pierwszą zieleń drzew,
Pierwszą trawę ujrzę czy rozkwitły krzew,
Do serca wkradają się myśli rozpaczy.
A może się łudzę, że będzie inaczej?
Gdy wiosna już całą pełnią życia drga,
W powietrzu pieśń ptaków szczęściem głośnym gra,
Gdy co dzień do życia wschodzi nowy kwiat
Przed oczyma staje wizja dawnych lat
I z rąk mi upadł pęk świeżej zieleni,
Wierzyłam na próżno, że się wiosną zmieni.
I potem myśl wątła, choć boża na pewno
Otula, nadzieją znów duszę mą biedną -
Dla ptaków i kwiatów cud wiosny dziś wszędzie,
Dla mnie, nie wiem kiedy, lecz wiem, że też będzie!

Ludwika Kownacka

Kazachstan, Bolszaja Bukoń 1942 rok

W okresie wiosennym - zaraz po obeschnięciu pól roboty polowe były prowadzone bardzo intensywnie. Była to orka, bronowanie, czasem kultywowanie, no i siew. Orki jesiennej się nie prowadziło, siewów ozimych nie było. Wszelkie prace związane z zasiewem zboża, wykonywane były wiosną. Jak przychodził czas na wykonanie tych robót, wszystko, co poruszało się, było

wyganiane w pole. Kto odmówił pracy, czekała go *trudarmia*⁸. Były takie przypadki. *Trudarmia* to nie obóz karny, to obóz pracy, ale praca na fermie to bajka w porównaniu z pracą w tym obozie. Opowiadali o tym ci, co stamtąd wrócili. Byli wycieńczeni, ledwie żywi.

Przy wiosennych pracach polowych pracowaliśmy więc wszyscy. Kto przy orce, kto przy siewie, w polu bądź na „bryczce” przy dostawie nasion do siewu. Wożąc to zboże czasem się trochę podebrało mimo, że pilnowali ostro, a kary za kradzież *gosudarstwiennawo chleba* były srogie. To już nie była *trudarmia* to już było więzienie. Musieliśmy zatem robić to bardzo ostrożnie. Kiedyś, a było to podczas *chlebouborki*, Zbyszek woził pszenicę do magazynu. Po opróżnieniu skrzyni podwoły nie wymiółł jej, co umknęło uwagi magazyniera. Podjechał do ziemianki, gdzie mieszkaliśmy, tam szybko wymietliśmy skrzynię i w ten sposób uzyskaliśmy ładnych kilka kilogramów pszenicy. Udało się, nikt nas nie zauważył, a jeśli widział, to nie wydał. Zamieszkujący tam wówczas ludzie nie uważali za kradzież przywłaszczania sobie dobra państwowego, natomiast ostrej ocenie podlegała kradzież mienia prywatnego. Nie dotyczyło to jednak funkcjonariuszy państwowych, którzy w tym względzie mieli odmienną opinię. Dość często zdarzało się, że za kradzież czegokolwiek drobnego (głównie żywności) zamykali do więzień i obozów karnych na rok lub dwa lata. Dlatego zdobywanie pożywienia drogą podziału z państwem, czyli zwyczajnie drogą kradzieży (za wyjątkiem zbierania kłosek), musiało się odbywać niezwykle ostrożnie. Bardzo się bałem, kiedy miałem coś trefnego w kieszeniach. Właśnie głównie w ten sposób, w różnych okolicznościach zdobywało się żywność, aby przeżyć. Albo inny przykład: wspomniałem już o zatrudnianiu kobiet przy oczyszczaniu zboża na wialniach. Praca ta była wykonywana głównie po żniwach, ale również podczas siewu. Mamusia bywała tam zatrudniana i wówczas wszywała w spódnice „kieszenioworki”, które w trakcie pracy napelniane były zbożem. Pisała o tym Maria Łęczycka w swojej książce, więc była to metoda widocznie szeroko stosowana i przejęta na pewno od miejscowych. Wspomniana książka to „Zsyłka”. Autorka przebywała w *posiolku* Bolszaja Bukoń odległym od naszej fermy około 25 km. Niemal wszystkie jej opisy są zgodne z tym, co ja zapamiętałem z tych lat, jak i z tym, co Zbyszek zanotował. Pod koniec zesłania przeniosła się do Semipałatyńska, została pełnomocnikiem polskiej delegacji komisji mieszanej ds. ewakuacji i jej podpis figuruje na naszym zaświadczeniu ewakuacyjnym wydanym 7 marca 1946 roku.

Praca przy wialniach była bardzo ciężka, ale mamusia chodziła tam mimo zmęczenia, głównie po to zboże, które stamtąd przynosiła - pomijając przymus.

Po zakończeniu prac wiosennych związanych z zasiewem zbóż do sianokosów byliśmy prawie bezrobotni, było jedynie plewienie, które zresztą zaczynało się i tak dopiero, jak zasiane zboże nieco odrosło. Nadeszło lato 1941 roku - drugi rok naszego zesłania. Latem łatwiej było zdobywać żywność, a więc łatwiej żyć. Jednak 22 czerwca wybuchła wojna między Niemcami a Sowietami, co miało bardzo istotny wpływ na warunki naszego bytowania, które uległy znacz-

⁸ *Trudarmia* - miejsce odosobnienia skazanych głównie za *proguły* (w naszej minionej już rzeczywistości powiedziałoby się „bumelki”). Nie byli oni tam więzieni w celach, lecz przymuszani do ciężkich robót.

nemu pogorszeniu pod każdym względem. Zaostrzona została dyscyplina pracy - nie można było bezkarnie odmówić wyjścia do roboty. Zdobycie pożywienia stało się dużo trudniejsze - miejscowej ludności (kołchoźnikom) zostały w znacznym stopniu zmniejszone przydziały zboża (ich *trudodień* został okrojony). Cała produkcja żywności oddawana była dla armii. Nie nastąpiło to z dnia na dzień, ale z upływem czasu warunki pogarszały się. Uległy natomiast pewnemu ociepleniu stosunki sowiecko-polskie, co dla nas w pewnym stopniu było odczuwalne. Można było przemieszczać się z miejscowości do miejscowości, można było nawet zamieszkać gdzie indziej, ale w granicach *oblasti*. Od czasu do czasu przywożono polską gazetę, a co najważniejsze - dary. Nie wiem skąd one nadchodziły, ale kilka razy w roku docierały i były bardzo pomocne.

A oto co Zbyszek pisze w swoich zapiskach:

„... do 10 lutego 1942 roku nic ważnego nie było, ale tej daty, którą wyżej napisałem, wieczorem przyjechał ten, kogo nie było przez 2 lata. Przyjechał ksiądz kapelan wojskowy w randze kapitana. Odprawił 4 msze święte i komunikował dużo ludzi. Uczył ksiądz katechizmu i odjechał dalej głosić słowo boże... Dawali 2 razy zapomogę, którą przysłali z Anglii, na trzeci raz jak dawali zapomogę to było około 14 lutego to było po 30 rubli, 5 deka cukru i 2 deka prawdziwej kawy, oprócz tego były jeszcze kominiarki. Na czwarty raz to było jak raz 1 marca dostały wszystkie rodziny. Dawali półpizamy, skarpetki i różne inne rzeczy... 13 marca dostaliśmy polską gazetę nr 3 z 28 stycznia, pod tytułem „Polska”...”

Ksiądz kapelan, o którym pisze Zbyszek to ksiądz Tadeusz Fedorowicz, który czas jakiś przebywał w naszym - zesłańców kazachstańskich - otoczeniu. A oto jak on w notatkach z Kazachstanu wspomina pobyt na naszej fermie:

„... 11.02.1942. Do fermy 4-tej sowchozu bukońskiego w Czigileku. Kaplica w dużej izbie gdzie mieszkają 3 rodziny. I tam przechowywałem Najświętszy Sakrament. Mieszkam u Franciszka Wyspiańskiego. Marysia Żytkiewicz układa piosenki, między innymi:

Oj Boże, Boże - ciężka niewola.
Którędy spojrzysz pustka dokoła.
Kraj nam zabrali, nas wypędzili
W stepach syberyjskich nas osiedlili.
Pracować każą, jeść nam nie dają.
Przy pracy z krzykiem nad nami stają.
Dzieci nam płaczą, chleba nie mają.
Matki nad nimi łzy ocierają.
O Matko Święta
Przeczysta Panno
Wyrwij nas z kajdan
Tego szatana.

Z Wandą Lang jadę do kołchozu Czigilek na cmentarz pod śliczną górą Tałagoj gdzie leży jej ojciec i babka... Z Kokpektów pojechałem raz do wsi, która nazywała się Mała Bukoń.

Jechałem wieczorem sankami, wioził mnie p. Wyspiański... Wywieziono go razem z matką, siostrą i p. Lang. Pani Lang miała córkę Wandę. Całe to towarzystwo spało na szerokiej pryczy. Gdy tam przyjechałem mnie też tam położyli. W wiosce były też dzieci do pierwszej komunii świętej. Była tam również Panna Marysia, która układała piosenki i śpiewała je...”

W tekstach tych zarówno u Zbyszka jak i u ks. Fedorowicza, istnieją pewne rozbieżności. Te teksty pisane były zapewne w różnym czasie, a pamięć jest zawodna, nazewnictwo miejscowości różnie używane, i ja nie podejmuję się korygować tego. Jednak zakładam, że tekst ks. Fedorowicza wierniej oddaje rzeczywistość, ponieważ był pisany przez człowieka dojrzałego, i jak wynika z treści książki, notatki te były robione w czasie, kiedy te zdarzenia się działy lub niewiele później. Powołuję się na te teksty, aby potwierdzić to, co zostało w mojej pamięci.

Wróć jeszcze do lata 1941 roku, gdyż w tym czasie przenieśli nas z budynku *priedsiedatiela* do lepianki. Lepiankę zamieszkiwali sami Polacy - 4 rodziny. Były tam 3 izby i *ambar*, który stanowił swoisty przedsionek. Kiedy lepiankę taką zamieszkują Kazachowie, w przedsionku trzymana jest krowa, kury, i opał. W naszym przypadku zamieszkała tam jedna rodzina. Z dworu wchodziło się do *ambaru*, na prawo było wejście do izby, którą zamieszkiwali p. Oliwowie - 4 osoby. Na lewo, część *ambaru* oddzielono do zamieszkania, bo była tam prycza Dobruckich - ojciec i syn. Przed tą pryczą było wejście do izby mniejszej, a z niej do kolejnej izby. W tej mniejszej była nasza prycza - 3 osoby, a w ostatniej mieszkali p. Czerdereccy, też 3 osoby - starsza córka Adela już wtedy nie żyła. W tym składzie mieszkaliśmy do końca pobytu, z tym, że wcześniej odszedł do wojska Tadeusz, czyli pozostała na miejscu trzyosobowa rodzina Oliwów.

Jesienią, kiedy prace polowe zostały zakończone rozpoczęła się nauka w szkole, oczywiście w języku rosyjskim. Jak już wspomniałem były tylko 3 klasy. Zbyszek poszedł do 4-tej, ale chodził do kołchozu Czigilek, a ja poszedłem do klasy 2-giej. Nie pamiętam już jak odbywały się zajęcia w tej szkole, może dlatego, że nie miała ona dla mnie większego znaczenia. Zajęcia były zresztą przerywane, kiedy pojawiała się konieczność zatrudnienia dzieci w polu na przykład wiosną, lub możliwość zbierania kłosów jesienią. Zbieranie kłosów o ile tylko zdołaliśmy uzyskać na to zgodę *priedsiedatiela*, stanowiło bardzo ważne wydarzenie, gdyż uzyskiwaliśmy tym sposobem istotne ilości zboża i na bieżące potrzeby i na zapasy zimowe.

Dlaczego po zżęciu łaanu zboża na polu pozostawały kłoski i to często bardzo dużo? Żniwa były prowadzone przy użyciu kombajnów lub *labogrejek* czyli żniwiarek. Sprzęt ten wykonany było jak, obsługiwany też było jak i zwykle był niesprawny. Kombajny, ani *labogrejki* nie posiadały skrzydeł obrotowych nachylających koszone źdźbła zboża na kosę żniwiarki lub kombajnu. A kiedy kombajnista się spieszył, żeby wyrobić normę, kosa przy szybkim ruchu do przodu ścinała same wierzchołki - kłosy, z których wiele było gubione, lub nie ścinała wcale. Źdźbło zostawało przygniecione do ziemi razem z kłosem. Taka sytuacja była nam oczywiście na rękę jednak nie

zawsze, bo kiedy *uprawliajuszczij* dowiedział się, że kłosków na polu zostało dużo kazał je zbierać i oddać *gosudarstwu*.

Z nadejściem jesieni, doświadczeni ciężką poprzednią zimą staraliśmy się zgromadzić jak najwięcej opału i żywności na nadchodzącą zimę. A więc zbieraliśmy kłoski, suszyliśmy owoce - melony zbierane (kradzione) na *bachczy* czyli plantacji. *Bachcza* rozmieszczona była w południowo-wschodniej części fermy a właściwie to już poza fermą, na południowym stoku wzgórza. Rosły tam i dojrzewały owoce wielkie jak wiadro, a słodkie jak miód. Od tego czasu tak pysznych melonów i kawonów nie jadłem. Plantacja była oczywiście pilnowana, ale był to obszar bardzo rozległy i żaden stróż upilnować tego nie był w stanie. Zawsze udało nam się po kilka melonów i kawonów zerwać bezkarnie. Z jarzyn gromadziliśmy głównie dynie, ziemniaki i marchew - gotowało się na tym zacierki i był to wielki rarytas. Dynie uprawialiśmy sami na skrawkach ogródków, jakie nam przydzielili na krańcu fermy. Również trochę ziemniaków i innych jarzyn. Potrzeby były oczywiście znacznie większe niż plony z ogródka, uzupełniało się je drogą wymiany u miejscowych Rosjan (Kazachowie ogródków nie uprawiali), za rzeczy otrzymane z darów lub przywiezione z Polski. Ponadto nauczyliśmy się tam *szczelkat' siemieczi*, czyli po prostu jeść słonecznik.

Ale jeść niezwykajnie - polegało to na tym, że wsypywało się do ust po garstce uprażonego słonecznika. Każde ziarenko podawało się językiem między zęby trzonowe, po ściśnięciu łupinki wysuwało się językiem na zewnątrz na dolną wargę, a ziarenka oczywiście się zjadało. Po zgryzieniu garstki ziaren na brodzie tworzył się warkoczyk z wypchanych łupinek. Nie był to zbyt estetyczny sposób jedzenia, ale przy pewnej wprawie niezwykle wydajny. Kto nauczył się prawidłowo *szczelkat* potrafił tego zjeść całkiem sporo. Słonecznik zdobywaliśmy jak prawie wszystko, przez kradzież. Tylko nieznaczne ilości uprawialiśmy w ogródkach. Ogromne łany uprawiane na silos były w sąsiednim kołchozie. Była to nasza baza zaopatrzeniowa.

Jako opał gromadziliśmy uzbierane na stepie *kiziakowe lepioszki*, gdyż na zrobienie prawdziwego *kiziaku* byliśmy za słabi. Były też cegielki robionego *kiziaku*, ale jak go zdobywaliśmy nie pamiętam już. Robiliśmy *kiziaki* dla sowchozu, widocznie trochę z tego dostawaliśmy. Na całą zimę nie zdołaliśmy zgromadzić ani żywności ani opału, ale przynajmniej mieliśmy żelazny zapas na czas *buranu* - do tego jeszcze wrócę. Jesienią jeszcze zbieraliśmy plony natury, czyli owoce leśne. Wprawdzie lasu tam nie było, ale rosnące wzdłuż rzeczki krzewy wierzbowe stanowiły pewnego rodzaju obszar zalesiony tym bardziej, że rosły tam również drzewka czeremchy i krzewy innych owoców jak *smarodina* - czarna porzeczka, dziki agrest, jeżyny, maliny. Były tam jeszcze drzewka, które rodziły owoce o cierpkim słodkawo - kwaśnym smaku, mniejsze od wiśni, jaskrawo czerwone, nazwy ich nie pamiętam. Zbieraliśmy te owoce, aż wybieraliśmy wszystkie, ale były one przeznaczone do spożycia bezpośredniego, gdyż było ich za mało, aby je w jakiś sposób przechowywać na zimę. Natomiast doskonale nadawała się do przechowania wysuszona *szypiszka* - owoc dzikiej róży. Nie było jednak z niej zimą większego pożytku, gdyż służyła tylko do zaparzania na herbatę. Podjadaliśmy tego sporo w stanie świeżym, kiedy bardzo dobrze dojrze-

ły. Dosyć pracochłonne było usuwanie włochatych ziarenek ze środka owocu, a przełknąć z ziarenkami było ciężko. Ale tak też próbowałem. W ten sposób gromadziliśmy zapasy witaminowe na zimę. Ponieważ cukier bywał tam niezmiernie rzadko i w ilościach śladowych, nauczyliśmy się od miejscowych wyszukiwać i żuć *śladkij korzeń*. Prawdopodobnie był to korzeń żeń - szeń. Nieczęsto udawało się nam znaleźć ten korzeń, ale jak się znalazło to była frajda na dłuższy czas. Nie preparowaliśmy go przed spożyciem w żaden sposób. Po oczyszczeniu z ziemi gryzło się go i przeżuwało usuwając po przeżuciu włóknistą miazgę.

Nasze zapasy zimowe, jakie zdołaliśmy jesienią zgromadzić, były oczywiście daleko niewystarczające, ale to, co zdobyliśmy, musiało zabezpieczyć również bieżące potrzeby. Tak więc zima, surowa zima wcale nas nie zwalniała z konieczności zdobywania żywności i opału wszelkimi sposobami. Nagromadzone zapasy musieliśmy oszczędzać na czas *buranów*. Wiedzieliśmy już z doświadczenia, że w czasie *buranu* nosa za drzwi nie da się wysunąć. *Buran* to potężna zawieja śnieżna z mrozem sięgającym minus 60 stopni Celsjusza. Bardzo silny, mroźny wiatr w połączeniu z dużym opadem śniegu potrafi zmrozić i zasypać śniegiem wszystko, co tylko zatrzyma się w bezruchu. Odpoczynek w podróży podczas takiej zawiei równał się śmierci. W ten sposób zginęło wielu ludzi, w tym także Polaków, również wiele zwierząt.

Jak się *buran rozduje*, to potrafi „duć” kilka dni. A kiedy wiatr się wyciszy, śnieg przestanie padać, wychodzi słońce i oświetla ten bezkresny biały step, a biel aż kłuje w oczy. Zasypane i zawiane jest wszystko. Dopiero po jednym lub dwóch dniach stają się widoczne odkopane ziemianki i ścieżki. Po takim *buranie* zewnętrzna warstwa śniegu jest tak zmrożona i ubita przez wiatr, że po przejściu po takiej skorupie śladów nie było widać. Pod skorupą było zwykle do kilku metrów śniegu, a jak się załamała pod stopami, był duży problem aby wygrzebać się ze śniegu. Kiedyś po *buranie* właśnie dowiedzieliśmy się, że na polu sąsiedniego kołchozu są nie zebrane słoneczniki, których kołchoźnicy nie zdążyli sprzątnąć z pola. Poszliśmy tam, bo była to nie lada gratka. Szliśmy po zaspach utworzonych przez zamieć, a nie wszędzie skorupa śnieżna była na tyle twarda, żeby utrzymać ciężar ciała. Często zapadaliśmy się w śnieg głęboko, co było bardzo wyczerpujące. Na miejscu okazało się, że całe pole słonecznikowe jest zasypane śniegiem, ale wiele główek słonecznikowych było ponad powierzchnią śniegu. Były bardzo zmrożone, że niemal po dotknięciu ziarna się wysypywały. Wystarczyło podłożyć worek pod główkę słonecznika i postukać, wszystkie ziarna wypadały. Uzbieraliśmy tyle słonecznika ile zdołaliśmy unieść. Po takiej dostawie mieliśmy *szczelkania* na dłuższy czas, jakby na to nie patrzeć, było to bardzo dobre uzupełnienie naszego skromnego jadłospisu. Innym znów razem Zbyszek z chłopakami poszli do lasu po gałęzie na opał. Zobaczyli tam rozszarpaną, ale nie zjedzoną do końca przez wilki krowę. Wrócili do domu, zorganizowali jakieś siekierki, bo mięso było zmrożone, oraz narty zrobione ze zwykłych desek przymocowanych do nóg sznurkami i wyruszyli po to mięso. Ile mogli naszarpać i unieść, tyle przynieśli. Nikt z nich nie zważał, że mogą zostać rozszarpani przez wilki. Po powrocie uczta była przednia. Czasami tylko udawało się złapać na sidła zająca, bo nie byliśmy zbyt doświadczonymi kłusownikami. Nie było to zresztą zakazane, kto tylko miał smykałkę i odpo-

wiedni sprzęt, mógł kłusować. Do łapania zajęcy wystarczyło trochę drutu, który się wyżarzało w ogniu, aby stał się elastyczny i robiło się z tego drutu sidła - wnyki. Rozstawianie tych sideł w miejscach gdzie biegały zajęce to cała sztuka. Ale złapać zającą to nie wszystko, trzeba było jeszcze upilnować, żeby go ktoś inny nie podebrał.

Jeszcze kilka *buranów*, jeszcze kilka eskapad po zaspach śnieżnych, to po chrust, to po jakieś zmarzniałe ochłapy lub cokolwiek nadającego się do zjedzenia i kolejna zima zbliżała się ku końcowi. Wiosną będzie lżej. Ale zanim nadeszła wiosna przyszła choroba. Nie pamiętam już, kogo najpierw zmogła. Nie pamiętam też jaki był przebieg mojej choroby - był to tyfus plamisty. Wszy były wszechobecne, a ponieważ one roznosiły chorobę nie ominęła prawie nikogo na fermie. Mamusia rozchorowała się jak już zaczynała się wiosna, jeszcze śnieg nie zaczął tajać, ale już nie padał i nie wiało. Słońce grzało coraz mocniej. Mamusia leżała z wysoką gorączką cała rozpalona, nie wiem kto i czym ją leczył. Pamiętam, że bardzo jej się chciało pić. Mówiła, że bardzo chciałaby się napić mleka. Ale przecież mleka nigdzie nie było. Zobaczyłem przez okno krowę, krowę Kazachów, co mieszkali obok. Nie zastanawiałem się, wziąłem garnuszek, wyszedłem i nadoiłem prawie pełny mleka. Kazaszka nie zauważyła, obeszło się bez konsekwencji a mamusia wypila ze smakiem. Niestety nie było to lekarstwo i w chorobie nie pomogło - chociaż kto wie. Kazachowie trzymali krowy i kury, ale ani *sut* - mleka, ani *dżumurdka* - jajka sprzedać nie chcieli. Zwyczajnie nie mieli nadwyżek. Ale bardzo lubili prawdziwą herbatę prasowaną - *czaj kirpicznyj*. Czasem, jak udało nam się zdobyć taką herbatę, następowała wymiana, wtedy i *remczyku* dorzucili. W chorobie następowało pogorszenie, i mamusię zabrali do Kokpektów - do szpitala. Szczęśliwie tak się stało, bo przecież tam jednak był lekarz i jakieś środki lecznicze pewnie miał. Kiedy najciężej chorych wywieźli do szpitala, na fermie zaczęła się dezynfekcja. Wszystkie lepianki, gdzie była choroba, odymiali dymem z siarki - zapalony dość duży kawałek siarki pozostawiali w każdej izbie, szczelnie ją później zamykając. Ten dym wżerał się w ściany tak, że było go czuć bardzo długo. Nie wiem jak długo mamusia leżała w tym szpitalu, ale jak wróciła zdrowa do domu, to już śniegu nie było i było dość ciepło.

Tak więc kolejna ciężka zima 1942 roku dobiegła końca. Była jeszcze cięższa od poprzedniej, ponieważ dodatkowo musieliśmy walczyć z chorobą. Nie wiedzieliśmy wówczas, nie chcieliśmy wiedzieć, że jeszcze więcej tych zim będziemy musieli tam przeżyć. Zawsze myśleliśmy, to były właściwie marzenia, że wiosną będzie lepiej, że nas stamtąd zabiorą, że to była ostatnia zima. Niestety nie ostatnia, trzeba było jeszcze przetrzymać następne cztery zimy, a każda z nich była równie ciężka do przetrwania.

A na razie była wiosna, bydło już wyprowadzone na wypasy w góry, zbliżało się lato. Chyba latem, albo jeszcze wiosną przywieźli na fermę nowych zesłańców - Czeceńców pochodzących z gór Kaukaskich. Nie rozumieliśmy dlaczego swoich ludzi deportowali z ich miejsca pochodzenia i pobytu. Nie stanowili oni dużej grupy - 30 może 40 osób. Nie dominowali więc ilością, ale wyróżniali się wzrostem i ubiorem oraz charakterystyczną postawą górali kaukaskich, nie tylko pod względem fizycznym. Byli to ludzie skryci w sobie, zastraszeni i w sposób widoczny nie lu-

biący (jest to łagodne określenie) systemu stalinowskiego. Kiedy mówili o swoim zesłaniu, to aż iskry sypały się im z oczu co wskazywało na nienawiść do panującej władzy. Spora ilość młodych mężczyzn w tej grupie narodowościowej, budziła nasze zaciekawienie i zdziwienie. Trwała przecież wojna, a oni należeli do Kraju Rad. Dlaczego więc nie byli w wojsku? Rozwiązania tej zagadki nie poznaliśmy do końca. Przypuszczam, że odmówili służby wojskowej i dlatego zostali zesłani.

Na początku zimy 1942/1943 na fermę przybyli dalsi zesłańcy. Byli to Niemcy nadwołżańscy, tak sami siebie nazywali. Ich przodkowie jeszcze za władzy carskiej osiedlili się na terenach nadwołżańskich w dolnym biegu Wołgi. Kiedy front zbliżał się do ich miejsc zamieszkania, wszystkich deportowali w głąb Związku Radzieckiego, część z nich trafiła na naszą fermę. Byli to ludzie całkowicie nieprzystosowani do życia w takich warunkach. Przyjechali zimą, bez żadnych zapasów żywności, i bez ciepłej odzieży. Nie mogli przetrwać tej zimy i też niewielu z nich przeżyło. Umierali z głodu i z zimna.

Poza tymi ogólnymi wiadomościami na temat zesłania Niemców i Czezeńców, nie utrwały się w mojej pamięci jakieś szczegóły, które mogły by naświetlić nasz wspólny pobyt na zesłaniu. Na uwagę jednak zasługuje jedno nazwisko z grupy niemieckiej: Hans Haag. Był to chłopiec w moim wieku, ale nie ja jego zapamiętałem, lecz on mnie i paru innych chłopaków. Po wielu perypetiach i tragediach kazachstańskich Hans wyjechał z fermy i zamieszkał w Permie na Uralu, tam skończył studia, ożenił się. W latach 70-tych zezwolono Niemcom nadwołżańskim na opuszczenie ZSRR i Hans z rodziną wyjechał do Monachium. Stamtąd rozpoczął poszukiwania mnie i Zbyszka przez Polski Czerwony Krzyż. Chyba w roku 1978 nawiązał z nami kontakt i w listach opisał swoje perypetie. Są to jego i jego rodziny losy, ale przecież oddają sytuację całej grupy niemieckiej. Wspominał na przykład, jak po ich przyjeździe na fermę spotykaliśmy się i pewnego razu dostał od kogoś z nas bryłkę soli, której oni od dłuższego czasu nie mieli. Pisał, z jak wielką wdzięcznością tę sól przyjął. Moja pamięć tak głęboko nie sięga, ale pamiętam doskonale tę wielką dysproporcję w bytowaniu naszym i ich. Ta zima była naszą trzecią zimą, byliśmy już jako tako przystosowani, a oni zupełnie nie. Na znaczącą pomoc stać nas oczywiście nie było, ale jakieś drobne gesty solidarności zesłańczej widać były. Kiedy my Polacy, wreszcie odjeżdżaliśmy stamtąd na zawsze, oni stali i płakali. Płakali z żalu, że muszą jeszcze tam zostać. Tak pisał Hans. I po kilku dopiero latach pozwolono im przemieszczać się po całym ZSRR, ale też na specjalnych warunkach. Musieli mieć od kogoś zaproszenie potwierdzone przez tamtejsze władze. My na takich warunkach mogliśmy się przemieszczać już wtedy, kiedy oni przyjechali. Ci z nas, którzy mieli rodzinę lub znajomych w większych miastach korzystali z tego. W ten sposób udało się niektórym wyjechać z Armią Andersa do Iranu, a potem dalej w świat. Oczywiście potrzebne były do tego jeszcze pieniądze, dużo pieniędzy. Pozwolić sobie na to mogli tylko ci z wybranych, którzy mieli jeszcze dużo rzeczy zabranych z Polski. Takie wędrówki, jak dowiadywałem się po latach z różnych wspomnień, nie zawsze kończyły się szczęśliwie. Wielu ludzi nie doczekało końca podróży. Umierali zapadając na różne choroby w trudach podróży, z wcześniejszego wycieńcze-

nia. Ale bardzo wielu ludziom udało się wyrwać w ten sposób z okowów lodu syberyjskiego, permanentnego głodu, z poniżenia w warunkach pracy przymusowej.

My, bez możliwości i bez środków musieliśmy czekać na zorganizowaną ewakuację i coraz bardziej wierzyliśmy, że ten moment kiedyś nastąpi. Chociaż były chwile, kiedy zaczynaliśmy wątpić w nasze ocalenie.

Po śmierci gen. Sikorskiego (o czym jeszcze nie wiedzieliśmy) stosunki sowiecko - polskie uległy znowu znacznemu oziębieniu. Na fermę przyjechali NKW-dziści z rejonu z Kokpektów, wszystkich Polaków zwołali na plac, pod *leninskije warata* i zaczęli najpierw agitować a później straszyć. Nie rozumiałem wtedy, o co w tym wszystkim chodziło, ale po jakimś czasie zrozumiałem - mieliśmy zostać obywatelami Związku Radzieckiego, bez szans na opuszczenie tego kraju. Wszyscy dostali jakieś ankiety czy deklaracje, które mieli „dobrowolnie”, pod groźbą aresztowania, podpisać. Przy pierwszym spotkaniu nikt tej deklaracji nie podpisał, ale nie dali za wygraną. Wzywali do rejonu na indywidualne rozmowy, gdzie przekonywali, jakie to dobrodziejstwo oferuje nam Kraj Rad. Ciągnęło się to dość długo, ale z naszej fermy nie aresztowali nikogo.

Sprawa *grażdanstwa* ucichła na dobre, kiedy nadeszło ocieplenie stosunków, to jest do czasu, kiedy zaczęła się tworzyć dywizja im. Tadeusza Kościuszki na terenie ZSRR. W tym też czasie Wanda Wasilewska tworzyła w porozumieniu i za zgodą władz sowieckich a właściwie samego Stalina - Związek Patriotów Polskich. Ponieważ brzmiało to bardzo po polsku, większość Polaków wstąpiła do tego związku - mamusia też. Nie wiem czy to przyczyniło się w jakimś stopniu do tego, że wróciliśmy do kraju, ale na pewno nie zaszkodziło. Jak się później okazało związek ten był kuźnią kadr przyszłego Państwa Polskiego w wizji Stalina. Wielu aktywistów pozostało w Związku Radzieckim, byli szkoleni (poddani praniu mózgu) i jako ludzie partii, swoi ludzie przysyłani do Polski na czołowe stanowiska w administracji rządowej.

Bardzo dużo dzieci polskich zostało tam bez rodziców. Część z nich zdołano przetransportować do Iranu wraz z Armią Andersa, ale wiele zostało w domach dziecka na terenie Związku Radzieckiego. Niektórzy byli umieszczani w *diet'-domach* rosyjskich, ci zostali całkowicie rusyfikowani. Ta część, która była w polskich domach dziecka wróciła do kraju, bądź też poddana została częściowej rusyfikacji. Piszę o tym, choć nie z własnej obserwacji znam los dzieci polskich na zesłaniu. Jest to wiedza zdobyta podczas lektury tekstów napisanych przez ludzi przebywających tam, przywołana tutaj, aby obraz moich wspomnień był pełniejszy. Powstała już spora biblioteka pamiętnikarska z lat 1940/1946 na przykład Gustawa Herlinga-Grudzińskiego i choćby wspomnianych już Marii Łęczyckiej i ks. Tadeusza Fedorowicza. Podczas czytania tej literatury powstawały przed moimi oczami wciąż nowe, zapomniane wcześniej obrazy z lat grozy. Kiedy wrócę myślami do tamtych lat, mam przed oczami taki obraz: siedzę w ziemiance na pryczy i patrzę przez okienko. Za oknem surowa, śnieżna zima. Na śniegu leży padnięta krowa, już zamrznięta. Obok skulona postać ludzka, na kolanach, szarpie zębami zmarzniete mięso tej krowy. Był to ktoś z niemieckiej grupy zesłańców, który przy tej padniętej krowie sam skonał. Takich zgonów wśród Niemców było wiele. Muszę tu wyjaśnić, że w tym czasie panowała jakaś bydlęca epide-

mia. Wiele sztuk była padła, nie nadążali z ich grzebaniem. Zresztą nie bardzo było jak grzebać, chyba tylko w śniegu. My również byliśmy na progu śmierci głodowej i też korzystaliśmy z mięsa tych padniętych krów. Pamiętam, że po ugotowaniu mięso było jak gąbka i bez smaku. Ale jedliśmy i o dziwo nikomu ono nie zaszkodziło, a może nawet pozwoliło nam przeżyć tę zimę.

Jakoś na początku zimy, z opóźnieniem dotarła do nas wiadomość o śmierci gen. Sikorskiego. Pamiętam, jak Zbyszek ze starszymi chłopakami niemal na środku fermy zbudowali pomnik ze śniegu ku czci Generała. Były z tego powodu jakieś wymówki ze strony *priedsiedatiela*, ale na tym się skończyło. Wiosną śnieg stał i tylko w nas pozostała pamięć po gen. Sikorskim, z którym wiązaliśmy wielkie nadzieje.

I znowu nadeszła kolejna wiosna, potem lato i nic się nie zmieniło. Pracowaliśmy dalej przy sianokosach: kosiliśmy trawę, grabiliśmy siano wspólnie z chłopakami niemieckimi, z tymi, którzy przetrwali zimę. A Czecheny pracowali głównie przy *skirdowaniu*, gdyż byli to rośli mężczyźni. Rosjan i Kazachów było coraz mniej, front pochłaniał niesamowite ilości ludzi. Przybywało natomiast inwalidów powracających z frontu. Niektórzy z nich, lżej ranni, pracowali pełniąc różne funkcje nadzorcze, ale w większości przynajmniej na razie, nie byli zdolni do wykonywania pracy. Wcześniejsze niepowodzenia Rosjan na froncie nie sprzyjały dobrym stosunkom również w naszym środowisku. Ci, którzy wracali z frontu nie byli przychylni ani nam Polakom, ani pozostałym zesłańcom. Widać robota politruków w armii spełniła swoje zadanie. Ludzie ci zostali przekonani, że to my Polacy spowodowaliśmy wojnę z Niemcami i z tego powodu oni teraz giną i cierpią. Tak rozumieli zarzewie wojny sowiecko-niemieckiej. To ich przekonanie nie miało wpływu na nasze bytowanie, ale spowodowało ich oddalenie się od nas i odwrotnie. Na szczęście my stawaliśmy się coraz bardziej samodzielni i mniej zależni od nich. Nauczyliśmy się od nich właśnie jak skutecznie korzystać z *gasudarstwiennowo dabra*, z tego, co należało do wszystkich. A kiedy w maju 1945 roku nadeszła wiadomość o zakończeniu wojny, odżyły w nas nadzieje na powrót do kraju. Już docierały do nas informacje, że nie będzie to ta sama Polska, ale było nam wszystko jedno byle w rodzinne strony.

Częściej i w większych ilościach nadchodziły dary głównie żywność, sporo masła kokosowego - trochę odżyliśmy. Dostały mi się nawet trzewiki. Jak ja się z tych trzewików cieszyłem! To były nowe, porządne trzewiki z ładnymi sznurowadłami. Nie musiałem już chodzić boso po ściernisku. Lato przeszło nam w radosnym oczekiwaniu na powrót, który stawał się coraz bardziej realny. Nadchodziły informacje, a to o powstaniu jakiejś komisji, a to o wydawaniu jakichś dokumentów (myśleliśmy, że na pewno na powrót). I w takim nastroju złapała nas kolejna zima. Złapała, gdyż nie spodziewaliśmy się jej już, ale przyszła tak samo sroga i śnieżna jak poprzednie. O powrocie nie zapomnieliśmy, podtrzymywaliśmy nadzieję, częściej spotykaliśmy się w większych kwaterach, śpiewaliśmy pieśni kościelne, piosenki wojskowe oraz patriotyczne.

Ale głównie musieliśmy się skoncentrować na tym, aby przetrwać. A z tym były problemy. Zapasy kończyły się, a dary, które już dość regularnie nadchodziły, utknęły gdzieś w górach, w zaspach śnieżnych i nie było nadziei na szybkie ich odzyskanie. Musieliśmy wytrzymać na *gasudar-*

stwiennom pajku, który na szczęście dostawaliśmy. Wprawdzie chleb przywożono zmarznięty jak bryły lodu, trzeba go było rąbać siekierą, ale dostawaliśmy go tyle, żeby nie umrzeć. *Kiziaku* nakradliśmy z sowchozowej sterty, żeby nie zamarznąć, i tak czekaliśmy do wiosny. Na przedwiosniu, kiedy *burany* przestały duć a śnieg przestał padać, odzyskany został transport z darami, które po kilku tygodniach do nas dotarły - znowu trochę odżyliśmy. Pomogły one przetrwać tę ostatnią zimę. Nie wiedzieliśmy jeszcze, że to ostatnia, ale jak zawsze mieliśmy taką nadzieję, która tym razem się spełniła. Dowiedzieliśmy się o tym chyba w marcu, kiedy dostaliśmy zaświadczenie ewakuacyjne, zezwalające na wyjazd ze Związku Radzieckiego. Mamusia dalej była nieufna, nie mogła uwierzyć, że na to pozwolili. Te lata w Kazachstanie i postępowanie władz sowieckich nauczyło ją nieufności. Uwierzyliśmy w szczęście dopiero późną wiosną, kiedy przyjechały podwozy i zabrali nas z fermy do Balszoi Bukoni. Tam zostaliśmy zaopatrzeni w żywność, najedliśmy się do syta, a po przespanej nocy, nawet nie pamiętam gdzie, rano wyruszyliśmy już na „maszynach” do tej samej stacji kolejowej Żangez-Tobe. Tam *wygruzili* nas, a że było już ciepło, spaliśmy pod gołym niebem. To zresztą już nie robiło wrażenia, istotne było, że cel podróży był znany - Polska. Aż wierzyć się nie chciało. Na eszelon czekaliśmy kilka dni, ale to było radosne oczekiwanie. Wreszcie przyjechał. Były to takie same towarowe wagony z pryzami, tyle, że już nie zaryglowane - drzwi były otwarte. Pociąg przyjechał z Semipałatyńska i był już prawie pełny, ale dla naszej bukońskiej grupki miejsce oczywiście się znalazło i ruszyliśmy. Pociąg nie pojechał do Semipałatyńska, lecz dalej na Ałma-Atę. Było to dla nas bez znaczenia, byle stacja końcowa była zgodna z naszymi marzeniami. Jechaliśmy teraz jakby szybciej, jakby mniej było przystanków. Do Ałma-Aty dotarliśmy po kilku dniach. Kiedy pociąg zatrzymał się, niemal wszyscy wylegli z wagonów. Część poszła do miasta, część rozstawiała cegielki, zaczęła gotować jakąś strawę, a nikt nie wiedział jak długi jest postój. Zbyszek jako jeden z pierwszych wyskoczył z wagonu i pobiegł do miasta na targ. Ałma-Ata, inaczej ojciec jabłek (*alma*-jabłko, *ata*-ojciec). Liczyliśmy, że po 6 latach wreszcie zjemy jabłko. I nie pomyliliśmy się, tyle tylko, że było to jabłko kwaszone razem z kapustą, bardzo smaczne. Świeżych jabłek nie było, bo to przecież była wiosna. Te wypady Zbyszka na targ powtarzały się w każdym większym mieście, a ja z mamusią denerwowaliśmy się, bo przecież nigdy nie wiedzieliśmy jak długi będzie postój. Jazda powrotna, choć w takich samych warunkach jak przed laty, była prawie przyjemna. Wszelkie niedogodności, do których zresztą zdążyliśmy się przyzwyczaić, były rekompensowane radością powrotu. Co jakiś czas wymieniali lokomotywę i po tym poznawaliśmy, że postój będzie dłuższy. Wtedy wylegały tłumy, każdy szukał cegiełek i zabierał się do gotowania strawy. Żywność kupowało się na bazarach lub u ludzi, którzy często podchodzili do wagonów i sprzedawali (na pewno drożej). Pewnie mamusia dostała na drogę jakieś pieniądze, bo z tym nie było problemu.

Podczas jazdy powrotnej nawet zadbali o higienę. Chyba to było w Saratowie - zorganizowali dla całego transportu kąpiel w łaźni miejskiej. Pomimo o wiele lepszych warunków jazdy od tych, jakie były przed sześcioma laty, kąpiel w łaźni była bardzo potrzebna. W tym radosnym nastroju po 2 tygodniach jazdy dojechaliliśmy do granicy sowiecko-polskiej, niestety nie pamiętam

w jakiej miejscowości. Na pieczęci granicznej na karcie ewakuacyjnej widnieje nazwa Jagodin - data 27.05.1946 roku, ale na żadnej mapie takiego przejścia znaleźć nie mogę. W każdym razie granicę przekroczyliśmy. Kiedy już pociąg zatrzymał się po stronie polskiej, wszyscy wylegli z wagonów, płakali i całowali ziemię ojczystą. Był to bardzo wzruszający moment.

I na tym właściwie powinienem zakończyć moje wspomnienia, gdyby nie fakt, że zgodnie z informacjami, jakie docierały do nas w Kazachstanie, wróciliśmy nie do tej Polski, którą opuściliśmy 6 lat temu, a nawet nie do tej ojczystej ziemi. Zawieźli nas do Gryfic w województwie szczecińskim, czyli na tak zwane ziemie odzyskane. Ziemie zagospodarowane przez Niemców. Powie ktoś, że przecież mogliśmy swobodnie przemieszczać się po kraju. Tak, nawet nam fundowano jednorazowy przejazd do dowolnego miejsca, tylko naszych domów w kraju nie było, zabrali je nam ci, co nas z nich wygonili i zesłali na 6 lat tułaczki. Właściwie to zesłali na zgubę, cudem tylko ocaleliśmy. Powróciliśmy dosłownie bez niczego. Mieliśmy rozpoczynać życie na nowo na teoretycznie naszej polskiej, ale praktycznie obcej ziemi. Tak więc dalsze nasze losy są ściśle ze zsyłką związane.

Po przyjeździe na miejsce, w Gryficach zajął się nami PUR - Państwowy Urząd Repatriacyjny. Dawali nam wszystko, co posiadali w magazynach, od żywności przez odzież do mebli i mieszkań. W urzędzie tym zaproponowali mamusi mieszkanie w mieście, całkowicie umeblowane i nawet wyposażone w sprzęt kuchenny. Było to mieszkanie dopiero co opuszczone przez mieszkańców niemieckich. W czasie, kiedy mieszkaliśmy jeszcze w wagonach na bocznicach, widzieliśmy jak transport z Niemcami odjeżdżał na zachód. Później dopiero mamusia opowiadała, że nie mogła przyjąć tego mieszkania, bo jej stanęło przed oczami nasze, przed sześcioma laty opuszczone dla Rosjan. Dostaliśmy inne mieszkanie, w domku czterorodzinnym na skraju miasta ze sporym ogródkiem. Jedna część już była przez kogoś zamieszkała, pozostałe dwa mieszkania przyznali nam na górze i p. Sobotowej z Ryśkiem na dole. Mieszkania były puste, ale całe. Mieszkało się tam całkiem wygodnie. Z PUR-u otrzymaliśmy jakieś łóżka, szafy. Te rzeczy były na pewno ponemieckie, ale żywność i odzież pochodziła z paczek UNNRA. Już nie pamiętam, co ten skrót oznacza, ale była to pomoc amerykańska. W tej sytuacji czuliśmy się dalej jak na zesłaniu tyle, że w znacznie lepszych warunkach.

Wszyscy przystąpili do poszukiwania rodzin. Kto odnalazł, a rodzina miała warunki i chciała przyjąć zesłańców - wyjeżdżał, aby zamieszkać z rodziną. Mamusia też rozpoczęła poszukiwania, najpierw ojca przez PCK, szwajcarski czerwony krzyż i kto tam jeszcze poszukiwaniami się zajmował, ale o ojcu żadnych informacji nie dostaliśmy. Wszyscy odpisywali, że jest nieznany. Potem udało jej się skontaktować z wujkiem Frankiem, który wraz z rodziną powiększoną o dwójkę dzieci był na starym miejscu w Skale, tylko że to już nie była Polska. Więc tylko sobie korespondencyjnie porozmawiali. Po jakimś czasie odezwała się rodzina ojca zamieszkała w Sosnowcu. Wcześniej mamusia w jakiś sposób ich odnalazła, bo adresu przecież nie znała. Były tam trzy ciotki - siostry ojca z rodzinami i stryjenka - żona starszego brata ojca Ignacego, który został zastrzelony przez Niemców w czasie wojny. Jedna z ciotek zadeklarowała chęć przyjęcia do siebie

Zbyszka i wysłania go tam do gimnazjum. Przed rozpoczęciem roku szkolnego Zbyszek pojechał do Sosnowca, a we wrześniu zaczął chodzić tam do gimnazjum im. Stanisława Staszica. Pani Sobotowa z Ryśkiem też wyjechali do jej brata do Jeleniej Góry. Zostaliśmy z mamusią sami. Reszta znajomych z fermy porożjeżdżali się w różne miejsca już wcześniej. Ja zacząłem we wrześniu chodzić do szkoły do 5 klasy w Gryficach. Późną jesienią nadeszła wiadomość od kolejnej ciotki, która zadeklarowała się przyjąć nas do siebie i pomóc urządzić się samodzielnie. Do Sosnowca przyjechaliśmy chyba w listopadzie, albo na początku grudnia 1946 roku. Zamieszkaliśmy najpierw z rodziną cioci Stasi, czyli z wujkiem Stefanem i dwójką ich dzieci - Romą i Jurkiem w dwupokojowym mieszkaniu.

Po jakimś czasie opróżniło się jednopokojowe mieszkanie w tym samym budynku, gdzie już w trójkę razem ze Zbyskiem zamieszkaliśmy. Rozpoczęliśmy trzeci etap w naszym życiu, etap, w którym mieliśmy wyrównać nasze sześćoletnie zacofanie cywilizacyjne. Praktycznie zaczynaliśmy od zera. Do Sosnowca przyjechaliśmy w tym i z tym, co dostaliśmy z PUR-u w Gryficach. W Sosnowcu też był ten urząd, a wujek Stefan tam pracował. Pomógł nam wybrać w magazynach to, co było niezbędne do jednopokojowego mieszkania. Z pomocą wujka Stefana urządziliśmy więc jakoś to mieszkanko. Mamusia dostała pracę najpierw w Ubezpieczalni Społecznej potem w szpitalu w szwalni. W dalszym ciągu pisała do różnych instytucji zajmujących się poszukiwaniami zaginionych podczas wojny - jednak bez rezultatu. W końcu straciliśmy jakkolwiek nadzieję na odnalezienie ojca.

W Sosnowcu znaleźliśmy się w otoczeniu ludzi, którzy po mrocznej okupacji hitlerowskiej byli wolni. Żyli przeważnie w pełnych rodzinach i we własnych mieszkaniach, wśród swoich przedmiotów. Mieli swoje złe wspomnienia z tego okresu i niekoniecznie chcieli dzielić z nami nasze wspomnienia. A my też woleliśmy te jęczące jeszcze rany schować pod opatrunkiem. Była to chyba metoda na uśmierzenie bólu. Spotkałem się kiedyś z określeniem kacet-syndrom użytym w odniesieniu do ludzi powracających z hitlerowskich obozów śmierci. Pomyślałem, że zmieniając symbolikę, określenie to jako kazach-syndrom lub katorga-syndrom przystaje do wielu z nas powracających z zesłania. Jednym z objawów tego syndromu w odniesieniu do mnie był kompleks niższości, innych opisać nie potrafię, ale one były, odczuwałem to przez długi czas. Potęgował je dodatkowo fakt, że w odróżnieniu od ludzi poszkodowanych przez system hitlerowski, my nie mogliśmy wykrzyczeć prawdy o zesłaniu, trzeba było zachowywać się tak, jakby przyjechało się z wakacji. Okazało się, że opatrunki założone na rany zsyłki, były po części tylko skuteczne. Nie sposób bowiem zapomnieć sześciu lat tułaczki.

Pod wpływem nowych wrażeń, przede wszystkim w szkole - najpierw podstawowej potem w średniej i wreszcie na studiach rany te zaczynały stopniowo goić się. Ja i Zbyszek doprowadziliśmy do tego stosunkowo szybko, włączając się w szkolach do różnych zajęć pozalekcyjnych, których nie brakowało. A to w szeroko pojętych pracach społecznych, a to w kółkach samokształceniowych lub po prostu w rozrywce. Gorzej z mamusią, która rozczytywała się w różnych wydawnictwach - również drugiego obiegu - związanych z wojną a szczególnie z losem ludzi biorą-

cych udział w walkach. Do końca swoich dni miała isierkę nadziei na odnalezienie męża a właściwie to bardziej liczyła na odnalezienie jego śladów. Naszej zsyłki nie rozpamiętywała szczególnie. Jeżeli już rozpamiętywała tamte lata, to głównie pod kątem zaginięcia ojca, którego losów zresztą od 1939 roku nie poznała nigdy. A my, mimo że w podświadomości gdzieś tkwił ten kazach-syndrom, pokończyliśmy studia i rozpoczęliśmy własne życie. Na przedostatnim roku studiów poznałem dziewczynę mojego życia - Terenię. Pobraliśmy się rok po skończeniu studiów, a po dwóch latach urodził się nam syn - Tomasz, który w wieku trzydziestu ośmiu lat odnalazł swoją drugą połowę - Wiesię. Teraz mamy sześciolatniego, ukochanego wnuka Mikołaja i nadzieję, że nie będzie on miał takich wspomnień jak ja.

Wiesław Blicharski

Rybnik, lipiec 2005 roku